

PANTEON POLSKI

Poświęcony czynowi Józefa Piłsudskiego i bohaterstwu Żołnierza Polskiego, kronice walk o Niepodległość i pamięci poległych Obrońców Ojczyzny o wolność Polski.

WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA POD REDAKCJĄ Z. ZYGMUNTOWICZA

Lwów-Skrytka 98. — Telef. 22-90. — PKO. Warszawa 152.930. — Kwart. zł. 2.50. CENA EGZ. 90 gr.

Lwów, 10 marca 1929 r.

Uroczystości w dniu 19 marca b. r., który stał się już tradycyjnym dniem święta Wodza i Narodu — były w tym roku wyrazem składania nieznanego dotychczas hołdu całemu niemal społeczeństwu Temu, który Polskę wyprowadził z wiekowej niewoli, dając jej doniosłym zwycięstwem wywalczone granice i swobodę rozwoju do mocarstwowej potęgi i wielkości.

Prawie ze wszystkich zakątków i miejscowości w Polsce, jak również z siedzib Polonji zagranicą, doszły wiadomości o wielkich i szczerą serdecznością owianych manifestacjach, akademjach, zebraniach, odczytach i t. d., poświęconych *Komendantowi*, z którym tysiączne rzeszy społeczeństwa naszego w dniu tym złączyły się węzłem jasnego zrozumienia dziejowej roli Wielkiego Człowieka i Męża Stanu w zmartwychwstałej Polsce, oddając Mu zasłużoną cześć i wiarę w siłę Jego postanowień, przekazanych na długie lata pokoleniom następnym.

Uroczystości te wyprzedził Zlot blisko dwu tysięcznej rzeszy dawnych Peowiaków, kwiecieja ówczesnej młodzieży, a dziś ludzi na wysokich stanowiskach urzędowych i społecznych.

P. O. W. — to organizacja rycerzy, nieznanych w żadnym innym państwie, bo rycerzy o wielkiej sile duchowej a zarazem o dużym przygotowaniu wojskowym, wychowanych w konspiracji, w podziemiach, zdolnych do wykonania rozkazu Wodza na każde zawołanie; rycerzy nieustraszonych i nieugiętych, nie dających się złamać ani srogością wroga, ani krętałtami politycznymi obcych agentur wśród własnego społeczeństwa.

To doniosłe dzieło Józefa Piłsudskiego uwypukliło się w dniu 11 listopada 1918 r., kiedy to *Polska Organizacja Wojskowa* odegrała rolę, któ-

rej nie dorównała żadna inna organizacja wojskowa czy polityczna.

Świadomość tego odbiła się echem na Zjeździe dnia 17 marca b. r., a znany z codziennych pism przebieg obrad Peowiaków odzwierciedlił jasno wartość i wytknięty cel tych ideowych żołnierzy nowej Polski.

Słusznie też podniósł w swem powitaniu b. komendant główny P. O. W., generał *Rydz-Śmigły* — wartość zasługi i potrzebę dalszej gotowości, mówiąc:

„Jeśli chce się pracę waszą sformułować w słowa, wszystkie słowa wydać się muszą nikłymi. Przed tą pracą prezentuje się broń.

Legjony i P. O. W., to jak dwa potężne strumienia, mające jedno źródło bijące na szczycie wielkiej myśli i wielkiej woli Komendanta. Dwa strumienia, z których jeden płynie po powierzchni, a drugi — pod ziemią. I oto przychodzi czas, że strumień płynący po powierzchni niknie i kryje się pod ziemią. Wreszcie nadchodzi chwila, kiedy oba strumienia wydobywają się na powierzchnię i stają się siłą pędną całej Polski.

Głęboka wiara w Wodza i ofiarna służba dla dobra Polski, z hazardem życia pełniona — te dwie prawdy stworzyły, że to co było niemożliwe, stało się możliwym, co było ciemne — jasnym, że umieliście rozumieć rozkazy, które otrzymaliście, a gdy ich nie stało, umieliście sami sobie rozkazywać.

Zasługa przeszłości nie wystarcza jednak, aby życie opanować. Wasz Wódz dalej dzierży w swych rękach losy Polski. Jestem przekonany, że nie zechcecie z twórców życia być i stać się tymi, których życie pokonało“.

W tych kilku, żołnierskich słowach mieści się wszystko, cokolwiek rzec można o P. O. W. i dla jej byłych członków na dalszą drogę życia!

Serce Wodza radować się musiało w chwili, gdy niezmienni żołnierze Jego zlecieli się, by uczcić czynem Imię hetmana, który szedł do tej Polski sam jeden, jako wódz i nauczyciel, a pozostawia tytuł wykonawców swoich zamierzeń i celowych dążeń na lata całe i na tyle pokoleń w przyszłości.

A. BŁOTNICKI.

Ze wspomnień o Komendancie

Anielin-Laski 22. X. — 26. X. 1914.

Jesień roztaczała swój polski czar. Po łąkach, strąconych obcasami butów żołnierskich, po rżyskach i ugorach pełnych śladów kopyt końskich i wtłoczonych złocistych liści drzew; po lasach pełnych pogruchotanych granatami drzew, szła tęsknica i smutek.

Dzień w dzień wojna znaczyła swe przemożne prawo łuną płonących wsi i dobytków. A nie babiego lata, snując się w powietrzu jak brabancka koronka, mizdrzyła się do żołnierzy, igrając z nimi jak rozweselona młoda dziewczucha.

O las anieliński wrzał bój dnia 22. X. od wczesnego ranka. III baon 1 pp. krwawił się, idąc raz poraż, do szturm.

Grzechot karabinów maszynowych łączył się w jeden nieprzerwany hałas z okrzykami „hurra“. 5-ty baon, który dnia poprzedniego wspólnie z 6-m baonem odrzucił Moskali z za Spiskiej Woli na linję Trupień — Kamień (na płn. wsch. od Radomia), osłaniając w ten sposób przemarsz korpusu krakowskiego, został forsownym marszem dnia 22. 10. popołudniu ściągnięty do lasu anielińskiego, celem wsparcia 3-go baonu, któremu groziło oskrzydlenie od strony połud. wsch. wsi Anielin.

Zażarty bój o las kosztował 3 baon kilkudziesięciu rannych i zabitych, wśród nich ciężko ranni por. Zosik, Wolski i Błazejowski zginęli.

Baon 5-ty trwał w odwodzie. Granaty hulały wesoło wśród drzew, wyrывая je z korzeniami, człek czekał cierpliwie kolejki, kiedy pocziwy granat rozbije się na czerepie ludzkim, lub wyżłobi dostateczną kryjówkę na wieczny spoczynek.

Po kilkugodzinnej niepewności żywota, nie pchnięci w pierwszą linję, głodni, pod osłoną zapadającego wieczoru ruszyliśmy w stronę wsi Laski, leżącej na północ od Anielina. Do wsi oczyszczonej przez I baon weszliśmy zgłodniałymi w nocy. Zaraz też padły pastwą naszych żołądków resztki pozostałego drobiu. Nic zmęczenie, ani niepewny los zbliżającego się dnia, wobec pustych trzewi.

Kompanja nasza, 2-ga, natknęła szczęśliwie na austriacką kuchnię, w której znalazła zaoszczędzonego nieco pożywienia.

Zjazd Peowiaków i 19 marca skupiły nas bardzo silnie i zjednoczyły tych wszystkich, dla których Polska — jest celem życia i którym przewodzi jedna myśl i jeden tylko drogowskaz:

Dla Ciebie i dla Trzej Chwały!

W łatwy zatem i bardzo cichy sposób zaspokoiwszy swój głód, stłoczeni zostaliśmy do jednej obszernej stodoły w ostrem pogotowiu. To też spoczynek nasz polegał na spaniu w siedzącej postawie z karabinami w ręku.

Mimoto drzemaliśmy znakomicie. Dopiero o świcie zbudził nas terkot broni maszynowej, a równocześnie z nim wołanie służbowego „alarm“. Zbiórka nie trwała długo. W przeciągu kilku minut staliśmy gotowi na każdy rozkaz. Nie miał on jednak nastąpić szybko.

Świt z trudem przedzierał się przez opary mgły jesiennej, jednak dzień zapowiadał się pogodny.

Mieliśmy wesprzeć I baon, który walczył o wzgórze dominujące nad Laskami. Tymczasem tkwiliśmy we wsi jako odwód. Powoli bractwo poczęło się niecierpliwić, w końcu pozwolono rozejść się w najbliższym promieniu.

Niewprawieni w arkana wojenne, mimo dostatecznej teorii, rozpoczęliśmy bez żadnych ograniczeń wspólnie z towarzyszami niedoli Madjarami, których zastaliśmy we wsi, rozpalać ogniska „picheć“ i gotując różne święstwa, których kulturalny człek w normalnym życiu obawiałby się nierogaciźnie podać.

Ale do jakichże wymysłów kulinarnych nie prowadzi wojna, zaprawiona głodem! Smażyliśmy zatem na podejrzanym tłuszczu jakieś placki, ciesząc się piękną pogodą jesienną.

Nadmiar rozpalonych ognisk i słupy wznoszącego się dymu sprowadziły katastrofę. Skoncentrowany i celny ogień artylerji rosyjskiej w przeciągu kilkunastu minut przetrzebił naszych i Madjarów.

Raz w raz płynęły śmiertelne wołania, raz w raz nowa serja pocisków wносиła większy zamęt i rozprzerzenie.

Dopiero teraz poczęto rozrzucać i gasić ogniska.

Nas zdołał zorganizować por. Wir-Konas. Chyłkiem, biegiem przenosiliśmy się z miejsca na miejsce, umykając jak tropiony zwierz.

Zabitych grzebano na miejscu. Ostatnie modły odprawiał kapelan ks. Kosina-Lenczowski.

Pod wieczór ogień osłabł. Zebrani w jedną kompanję, pod dowództwem por. Wira, czekaliśmy na zbawczy rozkaz, który rzuci nas do pierwszej linji. Nie nadchodził.

Wówczas por. Wir wezwał na ochotnika „kto uda się do pierwszej linji, do kapitana Żymierskiego z meldunkiem, że kompanja Wira czeka pod lasem na dalsze rozkazy“.

Z kompanji zgłosił się ja, jako podoficer za frontem, oraz kapral Kuzdrowski-Toporowski.

Por. Wir powtórzył treść meldunku. Ruszyliśmy, biegiem przebywając zasiewaną kulami przestrzeń. U wylotu wsi stanęliśmy jak wryci.

Pod stodołą na wpół rozwaloną siedział nad mapą Komendant z szefem sztabu Sosnkowskim.

Przystąpiliśmy bliżej, przyczem zameldowałem: „Obywatelu Komendancie, podofic. za frontem 2 komp. 5 baonu — Sep-Błotnicki melduje posłuszenie, że kompanja Wira czeka pod lasem na dalsze rozkazy“.

Z pod krzaciastych brwi spojrzały bystre i silne oczy, poczem padła krótka odpowiedź: „niech kompanja czekaj dalej!“.

Wróciliśmy, meldując o rozkazie Komendanta.

Dowiedzieliśmy się w drodze, że Komendant został kontuzjonowany, Żymirski oraz Grudziński i Różycki ranni.

Przetrwaliśmy do późnego wieczora, leżąc na polu. Nocą ruszyliśmy do pierwszych linji, gdyż I baon wyrzucił Moskali z pozycji. Rankiem siedzieliśmy w okopach, wyłobionych w podatnym piasku menażkami. Rozpoczął się 4-dniowy bój, pierwszy, który nas w pełni uświadomił o sposobie walki zaczepnej i pozycyjnej.

Z 5-go baonu, obok masy szarej legjonowej, ranni zostali oficerowie Karasiewicz i Dojan-Surówka.

Komendanta szukały w tych dniach kule, jak nigdy potem, — ocalał, gdyż miał spełnić wielkie dziejowe posłannictwo.

Dr. JAN ROGOWSKI.

W szkole podoficerskiej Legjonów w Kamieńsku

II.

30 marca (wtorek). Rano mieliśmy ćwiczenia taktyczne. Podzielono nas na dwie partje, z tych jedna była partją partyzancką — i ta partja wygrała.

Od południa jestem żołnierzem dyżurnym. Roboty mam dosyć: pozamiatać dwie sale, poustawiać karabiny i t. d.

Załatwiłem to wszystko i zadowolony rozmawiałem sobie z kolegami, a zapomniałem o tem, że mam uważać, by nikt w sali nie palił papierosów. Nagle wchodzi komendant kompanji por. Marszałek.

„Tu czuć dym z papierosów, — gdzie jest żołnierz dyżurny?“

Zerwałem się z posłania — i bez pasa, ła-downic, stanąłem przed kompanijnym.

„Kto pali?“

„Nie wiem — odpowiadam, — nie widziałem palących“.

„Dwie godziny szpangi, — żołnierz dyżurny ma wszystko wiedzieć!“

Odszedł, a w sali nastąpiło zamieszanie.

A więc pierwszy mój awans...

31 marca (Wielka Środa). Rano stawałem do raportu kompanijnego, — szpanga będzie. Potem miałem moc roboty w sali, — porozkładać słomę, rozścielić koce. Smuci mi to, że karta wojskowa, którą wczoraj dostałem i którą się tak ucieszyłem, będzie odrazu „zabazgrana“ karą.

W pierwszym rozkazie polecono nam stawić się rano o wpół do siódmej w pełnym rynsztunku: przebakują więc wszyscy, że jutro wyjedziemy, co uważam za niemożliwe.

1 kwietnia (Wielki Czwartek). Moja szpanga pójdzie — według wszelkiego prawdopodobieństwa — w zapomnienie, co mię bardzo cieszy.

Rano stawałem do raportu kompanijnego i prosiłem o pozwolenie na wyjazd do Częstochowy, celem odwiedzenia rodziny. Odpowiedź mam dostać wieczorem. Do południa były ćwiczenia bataljonowe. A więc znowu tyraljerka, gonitwa z karabinem, czołganie się i t. d. Po południu było czyszczenie sal.

2 kwietnia (Wielki Piątek). Pluton nasz poszedł do lasu z karabinami — po gałęzie jodłowe, by przystroić i umaić salę. Złożyliśmy broń w koźły, — a pogoda była cudna.

Koszary przystrojone w jodłowe gałęzie. Przygotowujemy się do wspólnej zabawy, na którą składa kto chce po dwie korony na ręce plutonowego, obywatela Nowaka.

3 kwietnia (Wielka Sobota). Mamy „Święcone“. Stół zasłany obrusem, — na nim pięknie zastawione placki, bały, bułki, pomarańcze tu i ówdzie, a na przodzie pękate buteleczyny...

Na ścianie, umajonej gałęziami, wśród karabinów, bagnetów skrzyżowanych — podobizna Piłsudskiego. a hen w górze, ponad karabinami i bagnetami, złożonymi w krzyż — mały, złocisty

obrazek Najświętszej Paniienki Częstochowskiej.

Wielka Sobota! Żadnego prawie zajęcia nie mamy. Dostałem kartkę od pani K., z której dowiaduję się, że brat mój, Józef, wyjechał z Wiednia do Nowego Sącza, gdzie będzie miał jakieś zajęcie inżynierskie.

Po południu było święcenie naszych bab, placków, jaj. Co to za śliczna chwila!

Skupiła się wiara koło stołu: kapelan odmówił krótką modlitwę, pokropił święcone wodą. Na święceniu był obecny komendant kompanji, Marszałek. Późem jeden z oficerów zdjął nas wszystkich i nasz stół, na którym na przodzie widniała figurka Zbawiciela z barankiem. Wieczorem dostał każdy z nas bardzo dobrą bułkę z rodzynkami, kawał kielbasy, trochę szynki i t. d. Mamy więc prawdziwe święta.

4 kwietnia (Wielkanoc). Wielkie Święto Zmartwychwstania! Wielkie Święto radości, wesela, mocy! Rano pół bataljonu — przy dźwiękach muzyki — poszło do kościoła na Mszę św.

I rozległa się pieśń: „Boże coś Polskę“.

A potem poszliśmy na święcone.

W wielkiej sali kinoteatru — długi stół, zastawiony jadłem.

Usiadła wiara na krzesłach. Na estradzie skupiła się starszyzna przy mniejszym stole.

Zabrzmiały dźwięki muzyki.

Ksiądz kapelan poświęcił święcone. Późem rozpoczęła się uczta. Plutonowi częstowali żołnierzy. Wychyliliśmy po kieliszku bardzo dobrej wódki. Potem wędliny, chleb.

Panie z Nowo-Radomska roznoszą ciasta. Wogóle obywatelstwo z Nowo-Radomska odnosi się do nas z wielką przychylnością. Jeden z przedstawicieli witał nas, wznosząc okrzyk na cześć legjonu. Coraz cieplejszy i serdeczniejszy nastrój na sali.

Komendant kompanji, Marszałek, nalewa piwa do szklanek wiary. Leje się strugami czerwone wino. Późem przemowy były i okrzyki. Komendant bataljonu Galica dziękował obywatelstwu miejscowemu za życzliwość i gościnność.

Przemawiał dalej Siemiaszko, wzywając do walki z największym naszym wrogiem.

„Połączy święcą dziś Święto Zmartwychwstania!“

A muzyka grała „Jeszcze Polska“.

I okrzyki były, jak grzmoty, na cześć wolnej Ojczyzny, na cześć Piłsudskiego, komendantów, wszystkich „naszych pięknych pań“...

Dostałem kartkę od Stefana z Wiednia. Mam wreszcie wiadomość od matki — ze Lwowa. Matka moja, dzięki Bogu, zdrowa. Brat Roman założył sklepik, siostra chodzi na kurs szycia.

Zaraz po południu poszliśmy na wartę główną.

„Zbryzgałem się“ trochę, bo strzegąc w nocy więźniów przepuściłem blisko do siebie oficera in-

spekcyjnego, za co dostałem porządną burę.

Chodziłem dalej z patrolem, który miał łapać „emy“ nocne.

Nie złapaliśmy żadnej.

5 kwietnia (Oblewany poniedziałek). Po południu „Święcone“ plutonu. Ale przed tem jeszcze oznajmił nam plutonowy Nowak, że w najbliższych dniach jedziemy do pierwszego pułku.

Więc kiedy wiara skunila się przy stole. — był komendant plutonu Szymański, dalej zastępca komendanta kompanji Królikiewicz, porucznik Jeziorański — to nastrój był poważny.

Dopiero piwo, wódeczka, wędliny i ciasta rozpuściły chmury.

Zabrzmiały piosenki, okrzyki na cześć komendantów.

Dzieliliśmy się jajkiem, — Nowak całował się z każdym. Serdeczny chłop, jak wszyscy starsi. Porucznik Jeziorański uzasadniał potrzebę wstępowania do szkoły podoficerskiej, bo będziemy potrzebowali jak najwięcej podoficerów. Porwalimy starszych na ramiona — wszyscy byliśmy bracią.

Na skrzypczkach wygrywano.

Dziwne ciepło było między nami.

6 kwietnia (wtorek). Przed południem ćwiczenia. Komendant plutonu Szymański sporządził listę wykształcenia swoich żołnierzy: chodzi tu — zdaje się — o to, kto ma być przydzielony do szkoły podoficerskiej.

Po południu były bardzo ładne ćwiczenia — służba placówek i wedet. Prowadził je Nowak, który na każdym kroku okazuje wielką znajomość sztuki wojskowej.

Wieczorem odczytano rozkaz: większa część pierwszego plutonu odjeżdża do pierwszego pułku, dwunastu zaś — między nimi i mnie — przydzielono do szkoły podoficerskiej.

7 kwietnia (środa). A zatem pluton się rozpadł! A ci, których przydzielono do szkoły podoficerskiej, głównie Łowiczanie (Białas, Cieślak, Lewandowski) chcieli stawać do raportu i prosić o przeniesienie do linii, ale im powiedziano, że to daremny trud.

Chłopcy więc nasi odmaszerowali do pierwszej kompanji, a z nią pójdą w pole.

Żegnał ich komendant kompanji por. Marszałek. „Okoliczności — mówił — nie pozwalają nam pójść razem w pole. Ale czekamy tylko tej chwili, kiedy cała kompanja wyruszy“.

A odjeżdżający śpiewali, ale czuło się ich wzruszenie, — jakieś tajemne drżenia dusz.

Odszedł z nimi Hoszowski — ów żołnierz, który zgłosił się do legjonu po to, by unikać austriackiego pospolitego ruszenia, — ot! miał szczęście.

A porządny zresztą człowiek, ale gdzie mł na wojnę! Mieliśmy z nim nieraz uciechy, co nie miara.

Odszedł dalej Bojanek: Szymański, uczeń z Piotrkowa; Zbroiński, prosty robotnik, ślusarz. „Ale za Ojczyznę walczyć powinien nie tylko człowiek uczony, ale i prosty robociaż” — mawiał on.

Rozpadł się więc pluton pierwszy drugiej kompanii.

8 kwietnia (czwartek). Do naszej szkoły podoficerskiej przydzielono kilkunastu nowych żołnierzy, tak, że liczy ona teraz coś trzydziestu ludzi. Ćwiczeń dziś nie mieliśmy, bo dzień brzydki.

Rano i po południu były wykłady: skład karabinu, trójkąt błędu — wykladał zastępowy Klimczak; o tyraljerce — komendant Szymański. Szymański podoba mi się nadzwyczajnie. Młody chłop — wąż mu się zaledwie sieje. — ale mina żołnierska.

W naszej szkole mamy dwóch byłych podoficerów rosyjskich, chłopcy choć do rany przyłoż! Na schwał, co się zowie.

9 kwietnia (piątek). Komendantem szkoły podoficerskiej jest porucznik Jeziorański. Rano mieliśmy ćwiczenia w pełnym rynsztunku. Całe szczęście, że rynsztunek pozwolono złożyć.

Po południu znowu ćwiczenia — bardzo piękne. — w tyraljerce, „kawalerja z prawej, z przodu” i t. d.

Doszliśmy aż do lasu, poczem „broń w kozły” i odpoczynek.

Ot! jakby majówka.

Dziś w herbaciarni widziałem, jak komendant bataljonu Galica grał w warcaby z prostym

żołnierzem. Również w herbaciarni miałem sposobność poznać brata mego dawnego profesora Pochmarskiego. Kochany Bolcio z Kołomyji. Sympatyczny chłopak z jego brata: te same rysy twarzy, co u Bolka i ten sam szlachetny pogląd na świat.

10 kwietnia (sobota). W nocy byłem żołnierzem dyżurnym. Zgłosiłem się sam, dobrowolnie.

Dyżurnych nocnych wprowadził por. Rawicz.

Rozmyślałem długo w nocy nad sprawą legjonu. Legjon przemówił do mnie swoją wspaniałością.

Przed południem były bardzo ładne ćwiczenia w tyraljerce, prowadzone przez Rawicza.

Zaraz poznać, że porucznik Rawicz nie raz był w ogniu.

A cechuje go niezwykła uprzejmość i grzeczność. Po południu przespałem się, potem poszedłem na ćwiczenia.

Szkoła podoficerska wykazuje już dziś wielką sprawność; chłopcy w niej są „jak pierony”.

11 kwietnia (niedziela). Po południu poprowadzono nas na wartę główną, a szkoda: dzień śliczny, z chęcią poszłoby się w pole lub do lasu.

Dostałem kartkę od brata, Józka; dostał wcale dobre zajęcie, za które bierze 9 koron dziennie. Kartka jego tchnie wielką serdecznością.

Ponieważ nie mam co czynić, siedzę sobie na słomie (podejrzanej) i słucham śpiewu więźniów. Będę spisywał piosenki.

STANISŁAWA SOZAŃSKA.

Z przeżyć na Pokuciu 1914–1919 r.

Kiedy po zwycięskich bojach w Karpatach w r. 1915 przyszli chłopcy nasi na odpoczynek do Kołomyji, po wyparciu z niej Moskali, Polonja tujejsza nie wiedziała wprost jak ma uczcić bohaterów młodocianych, jak im okazać, żeśmy z nich dumni, że rozumiemy to, że oni są zaczątkiem armji polskiej, że w rękach ich spoczywają losy Ojczyzny.

Osobny komitet starał się o ich przyjęcie, o zaopatrzenie ich w bieliznę, o dostarczenie im jaknajwiększych wygod i przyjemności. Przez kilka tygodni gościliśmy ich w naszym mieście do czasu wymarszu na granicę Bukowiny, a potem żegnali uroczyście.

Ze łzami w oczach żegnaliśmy naszych chłopców, niemniej i „Dziadka” Szerauca, który był twórcą kompanji z młodych ochotników Huculów. Niezmiernie miły i dobry staruszek.

Podczas zdobywania Kosowa poznałam Szerauca osobiście, a kiedy przyszli do Kołomyji był częstym naszym gościem i opowiadał o dziejach Legjonów w Karpatach.

Węzeł zadzierżgnięty przez kilkutgodniowy pobyt Legjonistów między nieliczną podówczas Polonją kołomyjską nie przerwał się z odmaszerowaniem naszych dzieci, lecz coraz więcej się ścieśniał, tembardziej, że wieści dochodzące stamtąd nie były wesołe. Męstwo naszych Legjonistów, ich nieustraszona postawa wobec wroga, np. pod Rokitną, napępiała serca nasze dumą, ale bólem zarazem na wieść o ofiarach, jakie ponoszą, o spustoszeniach, jakie nieubłagana wojna w ich szeregach czyni.

Każde święto duszą byliśmy z nimi, na każde święta wysyłałiśmy podarki, aby wiedzieli, że społeczeństwo o nich nie zapomina i nicia tragedji

narodowej z nimi się łączy.

Aż nadszedł rok 1917, drugiego lipca, kiedy to Komendant Józef Piłsudski występuje z Rady Stanu, oświadczając, że nie widzi możliwości budowania Polski w takich warunkach. Na to władze niemieckie aresztowały Komendanta Piłsudskiego i pułkownika Sosnkowskiego i wywiozły ich do Niemiec.

Tragedja legjonowa szybkim tempem dobiegała końca, dwie brygady prawie zniweczone; została tylko brygada żelazna, która działała na Bukowinie i wierzyła jeszcze, że tworzyć będzie wojsko polskie. Tak też nadszedł rok 1918, kiedy został zawarty haniebny traktat w Brześciu przez państwa centralne z Rosją, odstępując im szmat ziemi polskiej krwią męczenników zlanej.

Legjoniści nie chcieli wierzyć początkowo, a jednak tak było. dnia 12 lutego 1918 przyszły już pewne wiadomości. Rozpacz zdradzonego żołnierza nie miała granic i rosła z każdą chwilą, widząc zmarnowany trud czteroletniej wojny, za kampanją karpacką, gdzie odbyło 100 bitew i tyleż potyczek, ma przed sobą tylko nieziszczone obietniki. Myślano tylko, by się wyrwać z tej matni, opuścić kraj i przejść do Dowbór-Muśnickiego.

Zatem 15 lutego 1918 r. przeszła piechota II Brygady granicę pod Rarańczą, natomiast artylerja, dowodzona przez ówczesnego majora Zagórskiego, opóźniła się o kilka godzin z przybyciem na punkt zborny. To właśnie nie pozwoliło na wykonanie planu w całości, szczególnie, że sam sztab nie był zdecydowany, wyczekując wiadomości i wskazówek z Warszawy. Dopiero pod przymusem kapitana Góreckiego, który sztab polski zaarrestował, ruszyli w drogę.

Jak wyżej wspomniałam, artylerja i tabory nie zdążyły już przejść, osaczone bowiem były wojskiem austriackim i niemieckim; wywiązała się walka, lecz nadaremna; rozbroili Legjonistów pozostałych i internowali ich w obozach na Węgrzech w Huszt, Bustyahazu, Tallaborfalva, Dulfalva, Taraszköz, w Szeklence i w więzieniu garnizonowym w Marmarosch-Sziget.

Jakże dziwne były losy biednego Legjonisty! W roku 1914 obronili Legjoniści Marmarosch-Sziget przed nawałą moskiewską, dziś to miasto otwarło swe podwoje, by zamknąć stukilkunastu oficerów i podoficerów, jako głównych oskarżonych o zamach stanu. W kilka dni później rozpoczęły władze austriackie oblławę na Legjonistów po całym kraju. Prócz obozu na Węgrzech były obozy w Żurawicy koło Przemyśla, w Witkowicach pod Krakowem, Cytadela, Modlin i inne.

Większą część przewożono na Węgry przez Kołomyję. Tu sprowadzano naszych kochanych i umieszczano w opustoszałych i nieopalanых domach na ul. Kolejowej, dziś Jagiellońskiej, i na

Mnichówce w domu krawca Schazberga. Znękanymi, obdartymi, brudnymi, a często chorych trzymano po kilkanaście dni nieraz o głodzie, aż się zebrał większy transport do wysyłki na Węgry.

Komendantem internowanych Legjonistów w Kołomyży był niejaki Czaszar (Węgier). Do niego udały się panie Miziewiczowa, Sozańska i Dwernicka z prośbą o pozwolenie niesienia pomocy nieszczęśliwym chłopcom. Po wyjednanu pozwolenia zawiązał się Komitet niesienia pomocy z przewodniczącą p. Miziewiczową.

Po pierwszym tym etapie następowało coraz więcej internowanych, więc niektórzy z Komitetu wraz z internowanymi zaczęli przemyśliwać o ucieczce. Każdy odważniejszy zgłaszał się do piszącej, która wzięła sobie za główne zadanie ułatwiać ucieczki. W porozumieniu z kolejowcami rozpoczęła się akcja ratunkowa. Pan Teofil Ostapowicz, wówczas urzędnik kolei, dziś naczelnik stacji w Rohatynie, wziął na siebie obowiązek zorganizowania akcji wśród kolejarzy, którzy okazali się najlepszymi patryotami. Ja starałam się o czapki studenckie i stare surduty, a raczej kurtki i stare latarki, do czapek przyszywałam insygnja kolejowe.

Kiedy wieczór nadszedł, dawano znak odnośnemu Legjoniście gwizdem, by tej nocy czuwał. Nocą między 12 a 1 godziną syn mój, 16-letni Tadeusz S. z kolegą Mieczysławem Haleniakiem, rówieśnikiem, wdrapywali się po rynnie do okien i podawali sznur, po którym później Legjonista spuszczał się ostrożnie, a kiedy stanął na ziemię, natychmiast uszli boczną uliczką i wychodzili koło kaplicy obok ruskiej cerkwi, później koło studni, zwanej klasztorną, i ulicą Starogarncarską na Staromiejską do naszego mieszkania, gdzie ukrywali się aż do chwili odjazdu do Lwowa.

Częstokroć było ich kilku. Zawsze trzeba było wyciągać słuch, by nie nadszedł ktoś niepowołany. Do tej pracy wciągnęłam Stuska, fährnricha austriackiego, Czecha rodem, który miał funkcję w rzeźni miejskiej i mieszkał u mnie. Był mi pomocnym w ukrywaniu nieszczęśliwców. Jego wizytówka na drzwiach wchodowych w przedpokoju była tarczą ochronną, a w dzień, kiedy wychodził do służby, ukrywałam moją brać legjonową w jego pokoju. Gdy kiedykolwiek patrol przeszukiwał domy, moi chłopcy siedzieli spokojnie, zamknięci na klucz.

Często zdarzało się, że ów chorąży dostarczał czapek austriackich i bluz, a wówczas tak przybrany Legjonista wychodził w towarzystwie pań całkiem spokojnie nawet w dzień, bo straż nie wiele się interesowała, byleby nie czapka legjonowa lub kapelusz cywilny. Mrok nocy nadchodził oczekiwany przez biednych więźniów politycznych. Przebrani jak wyżej wspomniałam w czapki rzekomo kolejarskie z okopconą latarką i ledwie widocznym światelkiem w ręku, szli ci skazańcy pod

wodzą mego syna na dworzec kolejowy o północy, a tu znów ukryci gdzieś w ciemnościach, czekali na dane hasło. Kiedy kierownik parowozu był Rusin lub Niemiec, konduktorzy (którzy należeli do związku) wołali: „dzisiaj nic więcej nie bierzemy”; to znaczyło, że biedacy nie jadą i wracali zniechęceni znów do mnie, by następnego dnia rozpocząć tę samą wędrówkę.

Gdy maszynę prowadził Polak, padały słowa: „dziś pójdą wszystkie ładunki”; wówczas jak cienie powoli przesuwali się biedni chłopcy w pobliżu maszyny, a konduktorzy lokowali ich gdzie tylko był kącik ukryty.

Każdy wyjeżdżający żegnał się ze mną ze łzami w oczach, idąc na nieznane losy kolei, dostawał odemnie kartkę „Dyrekcja policji we Lwowie, Sozański”. Brat mego męża, sekretarz osobisty dyrektora Reinlendera, mieszkał w budynku Dyrekcji przy ul. Mickiewicza 1. 12 we Lwowie. Tam była moja córka Ala, jako słuchaczka kursu abiturjentów Akademii Handlowej. Każdy przybysz z Kołomyji pokazał kartkę ową, moją ręką pisaną, był więc znak, że to Legionista. Córka moja odprowadzała natychmiast na ulicę Potockiego 1. 42, gdzie mieszkał Henryk Bezeg, Legionista I Brygady i Michał Małaszyński, słuch. Politechniki (dziś Bezeg kapitan sztabu W. P. w Brześciu litewskim). Oni to znów starali się o dokumenty w O. Ż. P. i wysyłali do Królestwa, jako rzekomych Królewaków.

Również Bezega ukrywałam u siebie w domu podczas drugiej inwazji rosyjskiej w r. 1916, kiedy jako inwalida, t. j. już bez prawego oka, które stracił w bitwie pod Kielcami, leczył się jeszcze w domu u swej matki. Inwazja zaskoczyła go, nie mógł uciec, bo był bardzo osłabiony, a tu nasi mili mieszkańcy wskazywali na dom jego matki i Moskale zaczęli szukać za tym Legionistą. Przez dwa tygodnie ukrywał się w moim domu i szczęśliwie uszedł ich poszukiwaniom.

Wracam do roku 1918. Otóż tak szła praca przez szereg tygodni: coraz to nowych Legionistów przywozili Austriacy, część odjeżdżała na Węgry do obozów internowanych, część szczęśliwie uciekała.

Wiele też przeplakałam, kiedy przywieźli kpt. Góreckiego, który jako główny winowajca miał być postawiony przed sądem polowym, a raczej z góry przeznaczony na powieszenie.

Polonja kołomyjska wysłała delegację do Wiednia, w skład której wszedł ks. Wójcik i tenże udał się do ks. Biskupa Bandurskiego, za którego staraniem matka ówczesnej cesarzowej Zyty wpłynęła na tok sprawy Góreckiego (obecnie generała), że nocą pewnego dnia wsadzono go do sianek i zamiast na śmierć, wywieziono do więzienia garnizonowego w Marmarosze-Sziget i stawiono go 8 maja 1918 r. pod sąd.

Długi szereg czarnych dni ciągnął się prawie bez końca, dwa razy wyjeżdżałam jako wysłanka Komitetu do obozów internowanych, wioząc prowianty dla niektórych, celem upokorowania właściwej akcji, bo wiozłam dokumenta władz austr. tak zwane „Offener Befehl”, które dawały możliwość wyrwania się z więzienia.

Pewnego razu zawiozłam też sutannę ks. Ferencza, wikarego z Kołomyji, w której jeden z odważniejszych wyjechał jako ksiądz.

W tych niebezpiecznych wycieczkach pomocnym mi był wówczas jeszcze młody wyżej wspomniany Henryk Beręg.

Nareszcie zbliżał się dzień Wielkiej Nocy, cały Komitet pracował z zaparciem, cała Polonja przysłała z pomocą, nie brakło nikogo, każdy dom polski dawał co mógł, byleby tym sposobem przyczynić się do ogólnej akcji.

Kilka dużych skrzyń wypakowano mięsiwem, chlebem i ciastami, by zawieźć do obozów i rozdawać w dzień Zmartwychwstania.

Po długich staraniach dało Starostwo kołomyjskie pozwolenie do wyjazdu na Węgry dla pań Germańskiej, Ludwigowej i dla mnie.

W dzień Wielkiej Soboty roku 1918 o godzinie 6 rano, dzięki kolejarzom, wyruszyliśmy wozem towarowym w drogę do Węgier. Poczciowi kolejarze sami postawili piecyk wewnątrz wozu, dali węgla ze swych domów, ustawili skrzynie pod ścianami wozu i szerokie ławki, specjalnie zrobione dla naszych wygod.

W chwili odjazdu podniósł się szloch; tu matki i ojcowie żegnali nas, bo nie wszyscy mogli nam towarzyszyć, kilka tylko osób zabraliśmy ze sobą bez wiedzy władz, między innymi była p. Aleksandra Haleniakowa, matka Mieczysława Haleniaka, który poprzednio innym pomagał, teraz już sam był więźniem w Busty-Haza.

(C. d. n.).



JAN STAROŚCIAK.

Z dywizją polską na Syberji.

Nasz eszelon zatrzymał się na stacji w N. Nikołajewsku i nie zbliżając się do zapowietrzonych baraków, udaliśmy się niezwłocznie do przystani, gdzie po wsadzeniu nas na parostatek, ruszyliśmy po rzece Ob w dalszą drogę w stronę miasta Bijska.

Droga nasza prowadziła obecnie obok malowniczych gór altajskich, radując nasze oczy przepięknymi widokami dziewiczych lasów, wspinających odłamów skał, które widziane ze statku robiły niekiedy wrażenie pochodzących z zamierzchłych czasów cudownych świątyń.

Żyje tu wielu Polaków, którzy bądź sami lub ich przodkowie zostali zesłani na Sybir za powstanie. Wszyscy bez wyjątku tutejsi Polacy żyli podówczas bardzo dostatnio, zajmując się bądź to rolnictwem, przemysłem, handlem, lub też zajmując poważne stanowiska rządowe.

Po przybyciu do Bijska, zaraz za miastem pod jedną górą dali nam miejsce na wybudowanie baraków, które miały być postawione naszymi rękami. Po kilku dniach stanęły te baraki, podczas którego to czasu żyliśmy pod gołym niebem. Budową swoją jakoteż położeniem podobne były raczej do nór niż do miejsc przeznaczonych na mieszkanie. Wkopane do połowy w ziemię, sklecone z desek, stanowiących dwie ściany, pomiędzy które mi wyspane były trociny, stały się w krótkim czasie siedliskiem niezliczonej ilości myszy i szczurów, jakoteż różnorodnego robactwa. Trzymanie jakichkolwiek produktów było zupełnie niemożliwe, gdyż szczury i myszy roznosiły wszystko momentalnie.

Tamtejsi Polacy przynosili nam stale pożywienie, a widząc, że pobyt nasz w tych ohydnych norach, zalanych stale wodą podskórną, powoduje wielkie i częste choroby, wnosili usilne prośby aż wreszcie otrzymaliśmy od komendanta miasta bardzo dobre pomieszczenie w szkółce. Nowo zajęty przez nas budynek po tyłu przebytych męczarniach w poprzednim miejscu wydawał się nam wymarzoną apartamentem.

Naogół powodzenie jeńców wojennych w Rosji bardzo się wahało i w zupełności zależne było od operacji wojennych. Gdy wojska rosyjskie odnosiły zwycięstwa, obchodzili się lepiej z jeńcami, dawali dobry wikt, przyrodziewek i t. p.; gdy zaś poniesiono choćby chwilową porażkę, odbiło się to niezwłocznie dotkliwie na doli jeńców. Stosowano represje, zmniejszano racji pożywienia oraz wysyłano jeńców do robót przymusowych, gdzie ciężka praca w najgorszych warunkach pod względem pożywienia, przyrodziewku i traktowania

dziesiątkowała olbrzymie masy tych nieszczęśliwych.

Zajęcie Lwowa przez wojska austriackie oraz defenzywa Rosjan na całej linii, dała się nam jeńcom we znaki. Wszystkich nas przeniesiono natychmiast do nowo zbudowanych baraków, lepszych stosunkowo od poprzednich, lecz bez porównania gorszych od pomieszczenia w szkółce. Tutaj zaskoczyła nas ciężka zima syberyjska, mrozy dochodziły do 40 stopni, pomieszczenia nasze, choć opalane, były dla nas stanowczo za zimne, albowiem wszyscy bez wyjątku byliśmy lichy odziani, mając za całkowity ekwipunek jeden nasz mundur austriacki, który był porządnie podniszczony. Nieprzyzwyczajeni do tak niskiej temperatury, marzliśmy stale, a wielu z naszych podmrażało nosy, uszy, oraz palce u rąk i nóg.

Władze rosyjskie nie zwracały bynajmniej uwagi na nasze ciężkie warunki życia, lecz na odwrót zdawało się, że akcja przeciwko nam prowadzona jest celowo, gdyż na zanoszone z naszej strony zażalenia bądź nie dawano odpowiedzi, bądź też powtarzano stale frazes „naszym żołnierzom u was w Austrii powodzi się o wiele gorzej“. Na domiar tego należy zauważyć, że nasza „kochana ojczyzna Austrija“ bynajmniej się o nas nie troszczyła, co było w zupełnem przeciwieństwie do Niemiec, którzy od samego już początku zorganizowały pomoc doraźną swym jeńcom w Rosji, to też ci ostatni byli o wiele lepiej traktowani pod każdym względem. Szumne hasła imperjalistycznej Rosji, głoszące na wsze strony wyswobodzenie swych braci Słowian od jarzma krzyżackiego, były najpospolitszym humbukiem, ponieważ największym represjom podlegali właśnie słowianie.

Po przebyciu tej ciężkiej zimy, w roku 1915 z nastaniem wiosny wywieziono nas z Bijska do Barnaulu, gdzie również używano nas do wszelkiego rodzaju najgorszych robót, których nie zechciałby spełniać nawet słynący z obojętności do rodzaju pracy chińczyk.

W miesiącu maju 1915 r. byliśmy świadkami buntu wśród żołnierzy rosyjskich. W Barnaulu znajdowały się olbrzymie zapasy spirytusu rektyfikowanego. Pułki żołnierzy, stacjonowane w mieście, złożone wyłącznie z rezerwy i przeznaczone na front, zażądały od swych władz wydania im na drogę większej ilości napojów alkoholowych. Spotkawszy się, jak było do przewidzenia, z odmową, olbrzymie te watahy uzbrojone od stóp do głowy, rzuciły się na magazyny, przepelnione spirytusem i rozbiwszy je, poczęły się obficie raczyć ich zawartością. Miasto w owym dniu

przedstawiało grozą przejmujący widok. Pijane hordy żołdactwa w następstwie zaczęły rozbijać domy, rabować sklepy i składy, mordować ludność lub też bijąc się wzajemnie pomiędzy sobą, używając we wszystkich wypadkach broni palnej. Kres tym orgjom położyły dopiero zawezwane telegraficznie pułki kozackie, które przybywszy do miasta, czyniły porządek na swój sposób, siekąc szablami i tratując końmi swych braci.

Po krótkim pobycie w Barnaule, wpakowano nas na parostatek, wioząc z powrotem do Nowo-Nikołajewska. Po przybyciu do Nowo-Nikołajewska udaliśmy się niezwłocznie na stację kolejową, gdzie zajmując miejsca w przygotowanych już wagonach, zaczęli nas wozić tu i tam po linii kolejowej pomiędzy Nowo-Nikołajewskiem a Omskiem, zdaje się bez najmniejszego planu i w końcu po kilkunastudniowej podróży przywieziono nas do miasteczka Barabińska. Miasto to, a raczej — jak słusznie nazywali je tamtejsi mieszkańcy — „pomojnaja jama“, brudne i cuchnące, zamieszkałe było przeważnie przez żydów. Ulice i place przedstawiały jedną błotnistą masę, to też przechodząc przez nie brnęliśmy formalnie po kolana w błocie. Po przybyciu na tak zwany rynek, podobny raczej do śmietnika, zaczęto dopiero poszukiwania z iście typową rosyjską głupotą za odpowiednim dla nas pomieszczeniem. Łatwo sobie wyobrazić, że dla naszego transportu, złożonego z 700 obdartusów, nie mogło być mowy o jakimkolwiek schronieniu w tak małym mieście, to też po długich „poregoworach“ i kłótniach, gęsto przeplatanych dosadnymi rosyjskimi wyrazami, nasza eskorta, stosując się do otrzymanej z urzędową powagą instrukcji, pognęła nas jak stado baranów poza miasto, gdzie w odległości ośmiu wiorst mieliśmy znaleźć godny nas przytułek. Po uciążliwym marszu w upalny dzień dobrnęliśmy w końcu do celu, gdzie do naszej wyłącznej i niepodzielnej dyspozycji oddano budynek, stanowiący rzeźnię miejską. W budynku prócz cementowej podłogi, ścian upstrzonych gęsto hakami do wieszania mięsa oraz kadzi napełnionych cuchnącą ciecżą, nie było zgoła nic. Smród, jaki tutaj panował, doprowadzał nas formalnie do utraty zmysłów. Podłoga zawałona śmieciem i wszelkiego rodzaju odpadkami, pochodzącymi z uboju bydła, nie posiadała nawet odpowiedniej kanalizacji, umożliwiającej odpływ tych nieczystości. Olbrzymie roje much, a także szczurów, wędrowały wszędzie, nie zwracając bynajmniej uwagi na nasze przybycie, zapewne w przekonaniu, że tego rodzaju publicznością nie warto się wcale zajmować.

Całe następne dni i nocy spędzaliśmy na bezustannych przechadzkach po tem wstrętnym więzieniu, odczuwając zawroty głowy i częste wymioty. Trzy razy w tygodniu bili bydło, przeto każdorazowo wyganiali nas w pole, gdzie też spę-

dzailiśmy całe dni pod gołym niebem, będąc wówczas zadowoleni, że mamy możliwość odetchnąć świeżem powietrzem.

Po miesięcznym pobycie na tem letnisku, odesłano nas do Omska, gdzie po przyłączeniu jeszcze jednej partji jeńców, załadowano nas jak śledzie do beczki na parostatek, a raczej na spód parostatku i odwieziono rzeką. Ob do miasteczka Tary, położonego od Omska o kilkaset wiorst na północ.

Tara, małe miasteczko, położone nad rzeką Irtysz, założone niegdyś przez carową Katarzynę II., posiadało przedtem kopalnię, w których pracowali wyłącznie skazańcy polityczni i kryminalni, zakuci w kajdany. W czasie naszego pobytu zastaliśmy jedynie ruiny koszar, wykutych w skałce, które poprzednio służyły katorżnikom za mieszkanie, zaś obecnie stały puste. Poprzedni natomiast katorżnicy zamieszkiwali, lecz już jako ludzie wolni, nadal okolicę, a zwłaszcza wieś, noszącą nazwę jak kopalnia, będąc równocześnie postrachem całej okolicy.

W Tarze nie zatrzymaliśmy się długo, lecz po podzieleniu nas na dwie partje, jedną wysłali do ciężkich robót przy wyrębie lasu, druga zaś pozostała narazie w mieście, rozmieszczona w starym budynku szpitalnym.

Ja przydzielony zostałem do pierwszej partji. Posuwając się drogą w kierunku puszczy, przechodziliśmy przez poprzednio wspomnianą osadę katorżników, a mając możliwość oglądania ich, doszliśmy do przekonania, że opowiadane o nich historie nie były bynajmniej przesadzone. Jedno spojrzenie, skierowane na tych ludzi, wystarczało do powzięcia zdania, iż są oni zdolni do najohydniejszych zbrodni.

Po przebyciu pieszo drogę 150 wiorst, dotarliśmy do osady, złożonej z drewnianych budynków i noszącej nazwę fabryki spirytusu drzewnego, wyrabianego wyłącznie z drzewa brzoźowego. Udało mi się zainstalować w samej fabryce przy obsłudze maszyn i konserwacji narzędzi, unikając tym sposobem losu moich towarzyszy niedoli, wysłanych do robót leśnych.

W tych puszczach leśnych, odciętych od ludzi i świata, schodziły nam dni, tygodnie i miesiące. Nadmienię wypada, że była to ostatnia placówka kultury, wysunięta na północ. Słońce można było oglądać tylko przez dwa miesiące letnie, zaś jesienią zaczynały się dni ponure, krótkie, zupełnie odmienne od naszych dni jesiennych.

Towarzysze moi, którzy pracowali w lesie, cierpieli istne katusze, spowodowane ciężką pracą w wilgotnym gruncie, stojąc stale podczas pracy po kostki w wodzie, nabawiając się przez to choroby puchnięcia nóg. Prócz tego plagą lasów syberyjskich jest tak zwana „moszka“, rodzaj nadzwyczaj drobnych muszek, które unosząc się chmurą ponad ziemią, wciskają się w ciało czło-

wieka, zadając przez ukąszenie dotkliwie i nieogajające się rany. Jedynym sposobem uniknięcia ukąszeń tych muszek jest stałe noszenie gęstej siatki na głowie oraz szczelne zakrywanie miejsc odkrytych ciała, a z braku siatki, smarowanie twarzy

i rąk dziegciem. Ten drugi sposób stosowali nasi jeńcy, który czynił ich podobnymi do jakichś poczwara leśnych.

(C. d. n.).

RAFAŁ HIRSCH.

weteran 1863 r.

Wspomnienia z 1863 r.

Por. Chudzikiewicz doniósł mi, że oddział nasz poprowadzi major Jagmin, — a nie Rozwadowski — że tu już na folwarku jest do 50-ciu powstańców, że ogółem oddział nasz będzie liczył do 150 ludzi, a to 100 piechoty i 50 jazdy, że wszyscy wachali już proch, że major Jagmin to wytrawny i dzielny dowódca, ale liczy zgórą lat 70. Major był w wojsku w Turcji, skąd wyszło ich przeszło dwustu uzbrojonych doskonale pod wodzą pułk. Miłkowskiego i obrali sobie zapewnioną drogę przez Mołdawję.

Ale zaatakowano ich siłą wojsk rumuńskich. Zagrożeni, zastrzeegli się, że w razie gwałtu na oddział i powstrzymania przejścia za granicę — będą się wojennie bronić i tak nastąpiło. Dali nam chrzest mały wojsku mołdawskiemu — lecz otoczeni przeważającą siłą, na przyjazne zaproponowanie, by w zgodzie broń złożyli — uczynili to. Rząd mołdawski uczynił zadość żądaniu dowództwa powstańców, wypłacił naszym miesięczny żołd i każdego na jego życzenie odeskortowano do granicy. Pułk. Miłkowski i wielu z nim powróciło z powrotem do Turcji, major Jagmin zaś zebrał około 60 ochotnych i przemycając się różnymi drogami, doszedł tu z 32 tegimi chłopcami.

Przebudziłem się rano i już gorączkowo dokuczałem porucznikowi, by mię zaprowadził; chciałem się zaznajomić z moimi towarzyszami. Była to pora śniadania — więc weszliśmy do obszernej izby czeladnej, a przy długim dębowym stole bez nakrycia zastaliśmy obsiadłych towarzyszy; dla braku miejsca przy stole, wielu ich siedziało także na ławkach i pod ścianami izby.

Milej postawy pani rzędczyni, przy usługach dwóch sielskich dziewcząt, usłudze i uśmiechem napełniała misy powstańcom.

Krótkie koleżeńskie poznanie się z towarzyszami broni; a jutro rano — przedziewka w zapasne uniformy, podzieleni na plutony jazdy i kompanje piesze, do szyku wojskowego — potem próba musztry i pochód nasz, bez orkiestry, ale z orkiestrą w duszy — za kordon.

14 grudnia 1863 r. Mróz iskrzy śniegiem i bielechnymi pióropuszcami na gałązkach ugiętych sosenek leśnych. Wśród niebotycznych drzew szpilkowych — olśniona promieniami i światłem

słonka — leśna polana. Na niej jak w arenie, wozy, tabor, ludzie się bez oglądania krzątają, konie rżą, z leśnych drożyn nadciągają naładowane wózki, za niemi skrzypią w mrozie grupami piesi, stają w ordynku. Major Jagmin i szef sztabu Kozióracki witają nas przybyłych. Uciszyło się wszystko i adjutant odczytuje regulamin służbowy — ręce w górę — od tej chwili jesteśmy żołnierzami, poddać się dyscyplinie i rozkazom przełożonych starszych bez protestu! A który z obecnych nie czuje się zdolnym, może zaraz opuścić szereg — cisza.

Zrozumieli towarzysze?

Za przykładem starszyny, z podniesieniem czapki w górę, odkrzyknęliśmy: Zrozumieli!

Rozkaz!...

Komendanci plutonów i kompanji, kawalerji i piechoty, zgrupują swoich ludzi!

Wnet obliczono 5 komp. strzelców po 20 ludzi i 4 plutony konnych strzelców po 12 ludzi — razem ze sztabem i wolontariuszami odrachowano 165 ludzi.

Rozpoczęto rozdawać uniformy. Kawalerja dostała płaszcze brązowe z grubego sukna, a którzyby nie posiadał dostatecznego obuwia, buty z ostrogami i kożuszki krótkie, pałasz, dwa pistolety, krótkie sztuce (belgijskie), ładownice z nabojami.

Koni było dosyć do wyboru dla kawalerji. Więc też wybrał sobie kawalerzystą pod nadzorem swojego komendanta, utrafionego towarzysza i wiernego przyjaciela, konia, jak i niemniej całe umontowanie — siodła, dobre i doborowe (węgierskie), czapki na głowę jednolite z białej, grubej, jak mam nazwać: wełnistej „baji“ w formie stożkowatej; nad czołem do góry były pasowe, tylna połowa w czasie śnieżycy i zawieji staczała się w razie potrzeby na kark i aż na krótki kołnierz płaszcza, przytrzymana taśmą gumową po podbrodę.

Gdy stanęliśmy w ordynku, bujnie i pysznie to wyglądało. Pomysł ponoś z saskich czasów.

Umundurowanie piechoty: Płaszcze z sukna ciemnosiwego, kołnierze wyłożone z naszywkami pasowymi, karabiny z hengurtami, ładownica na patrony, torby na chleb i także same czapicy jak kawalerja.

Major Jagmin w czarnej konfederatce, obwiezioną takim barankiem, w płaszczu koloru ciemnego. Adjutant Kozioracki z Turcji, również emigrant, zdaje się kapit. Szkoły wojsk. z Petersburga, lat około 50 — w płaszczu ciemnym i przez ramię rzemień koloru czerwonego od ładownicy.

Z nami cztery furgony z zapaśną bronią, amunicją i szpyza wódką i t. p.

Był i ksiądz kapelan w kapucyńskim habicie.

Podwoły opróżnione wraz z ludźmi wycofały się z obozu.

Za świstawką alarmową, zagrział głos komendy: „formuj się!” i wedle ordynku grupami pod komendą starszych ruszono w pochód z miejsca.

Miało się ku wieczorowi. Major Jagmin na siwym wspaniałym rumaku.

W obozie zetknąłem się ładnym młodzieńcem, starszym odemnie, z czarniutkimi wąsikami i rumianą twarzyczką. W sąsiedztwie mojem masztował swojego konia, poci się i męczy biedaka, stęka; konia widzę nie zna (rzemień fałszywie przypina); zwróciłem mu uwagę. Przystąpił do mnie, objął mię i mówi do mnie: „Koleżku kochany, jeździć konno umię, ale wojskowych siodeł nie znam, bo ja — mówi — służyłem pod Langiewiczem w piechocie, pomóż mi, jeśliś tak dobrym; widzę, że idzie ci składniej, pomóż mi. Rotm. nasz Jaszewski, jest kuzynem moim. Spotkawszy go tu jako rotm. jazdy, prosiłem, by mnie wziął do kawalerji. Jak się zwiesz kolego?” pyta mię. „Rafał Hirsch piszę się — mówię mu — i jestem galicjaninem”. „A ja — powiada on — wołają mnie Szalaputa i jestem z Kongresówki”.

Dobra nazwa, pomyślałem, zawierając przyjaźń. Służyliśmy razem w jednym plutonie.

Porucznikiem plutonu tego był Czudowski — a jak mi Szalaputa mówił, Czudowski był w wojsku rosyjskim kapitanem.

Późniejsze zdarzenie wyjaśni czytelnikom, do czego przyjaźń nasza nas wyszczególniała. Ja wracam do mojego opowiadania.

Po półgodzinnym pochodzie — stanęliśmy na opatrzonej w lesie polanie. Komenda: zsiąść z konia, przywiązać do drzewa, popuścić od siodeł popręgów, rozchełstać konie — a piechurzy posiadali na spoczynek w puch miękkiego, niezbrukanego śniegu.

Wkrótce za nami nadjechały drożyną leśną kilka sań z gośćmi i na jednych sankach buchające parą kociołki.

Rokazano nam podać konikom po trochę siana, a my okrążyliśmy kotły, zanoszące wonią. Godziwe i nieznane nam piękne panie z warzechami w rączkach, napełniały nam każdemu w nastawioną menażkę blaszaną — a była to potrawa, bigos wonny z kapustą.

Każdy z żołnierzy, dostał do manierki blasza-

nej — która to niby dana nam była na wodę — po całej kwaterce dobrej gorzałki, nadto po połowę bochna białego chleba i do torby na zapas po kawałku paprykowanej słoniny. Wiara powyciągała z za cholew danej nam każdemu łyżki, sporządzona z drzewa gruszkowego — i wesoło a zdrowo szła biesiada i ten popas.

Starszyzna w otoczeniu towarzystwa, popijała sobie z gośćmi wino, a żołnierzy po niemałym kubku grzanego piwa. Zatem pierwszy atak gastronomiczny odbył się z smakiem i ochoczo.

Nakazano nam w potoku leśnym konie napić, porcję owsa w sakwach do głowy uczepić koniom. Po tym postoju, goście nasi mili — pobłogosławiwszy nas na wojenkę — pożegnali i odjechali. Krótki jeszcze odpoczynek i około północa ruszono w dalszą drogę.

Dzień drugi kręciliśmy się jeszcze po lasach po stronie Galicji; zabierały nam dużo czasu ćwiczenia, obozowanie, musztra i gotowanie obiadu. Dnia 16 grudnia 1865 dopiero rankiem zatrzymaliśmy się nad kordonem austriacko-rosyjskim.

Tu major Jagmin przemówił do nas jako dowódca oddziału i stary żołnierz.

Kapelan odmówił z nami krótką modlitwę i pobłogosławił kropidłem święconej wody.

Rozkazano nabijać broń i „ladesztoki“, dobijając w lufy karabinów naboje poczęły kwileć o lufy. Komenda: nałożyć kapsle!

Kawalerja nabijała sztuce, nie schodząc z koni. Pochwalić się mogę, że por. Czudowski podał mię do szarży kaprała.

Tu zaszedł niewinny, ale tragiczny przypadek. Przy nakładaniu kapsli, pluton konny III-ci dał strzał i w plutonie I-szym trafiony został ułan w kark. Alarm ten nie pożądany — bowiem zaśzło to nad samym kordonem rosyjsko-austriackiej granicy i mógł objeszczyków rosyjskich pogranicznych zaalarmować i zwabić ku nam. I tak poszło życie młodego żołnierzyka. Przy dochodzeniu winy okazało się, że powstaniec, któremu broń wypaliła, był powstańcem zasłużonym, walczył pod Langiewiczem, Jeziorańskim i Różyckim. Pokazało się, że powód leżał w zamku sztuka. Żołnierz zastrzelony i powód byli obaj, którzy już bronią władali; lecz w każdym razie przy operacji takiej powinna być lufa postawioną do góry. Lecz stała się ta przykra rzecz i wobec tego alarmu cofnęliśmy się z powrotem do Galicji. W lesie wykopano jamę i ubitego pochowano w płaszczu i w czapie.

Kapelan odprawił egzekwje przy mogile — klęcząc oddaliśmy nieboszczykowi hołd pośmiertny i pożegnanie. Powód zrozpaczony płakał i całował mogiłę, lecz nie długo się tem martwił: w tydzień później, ugodzony kulą moskiewską, legł bez mogiły.

(C. d. n.)

Notatki

Obchód Rocznicy Raclawickiej we Lwowie 1915 r. rozpoczął się wielką uroczystością w *Kole Kościuszki T. S. L.* dnia 6 kwietnia 1915 r.

Tow. Szkoły Ludowej miało kilkanaście kół we Lwowie, jednak najruchliwszym kołem było im. Kościuszki, gdzie grupowała się młodzież ludowa, t. j. pracująca wśród ludu, wyzwalać go i porywając do życia państwowego. Ten ruch ludowy zapoczątkowali w Małopolsce państwo Wyśłouchowie i im zawdzięczyć należy, że lud polski obudził się i stanął do pracy niepodległościowej, dając wyrazy tej pracy w walkach 1914—1920.

Młodzież ludowa, złożona z nauczycieli gimn. i szkół powszechnych, z urzędników, akademików i t. p., zgrupowana w Kole im. Kościuszki — założyła i utrzymywała kontakt z kilkudziesięciu czytelniami ludowymi, gdzie prawie co tydzień odbywały się wykłady, odczyty, pogadanki i t. d.

A gdy powstały organizacje strzeleckie, prawie wszyscy z Koła weszli do „Strzelca” i natychmiast rozpoczęli pracę w organizowaniu oddziałów strzeleckich po wsiach.

W robocie tej wielkie usługi oddał obecny major Władysław Wąsowicz, ówczesny sekretarz Stronnictwa Ludowego i jeden z założycieli Koła im. Kościuszki. Współpracowali między innymi z pośród młodzieży w Kole ob. posłowie Jan Dąbski, Maciej Rataj, Wład. Wojtowicz, Józef Sanojca, ob. generał Bol. Popowicz, bracia Czapczyńscy, St. Dąbrowski, Włodz. Jampolski, Janina Dąbrowska, bracia Opałkowie, ob. pułk. Deschou, ob. mjr. A. Rutkowski, A. Rosenberżanka, Olszewski, M. Szuszkiewicz, Feliks Młynarski, piszący te słowa i wielu innych.

Uroczystość Kościuszkowska rozpoczęła się rewją Związków i Drużyn Strzeleckich, posiłkowanych oddziałami chłopskimi.

Następnie odbyło się w sali Tow. Pedagogicznego zebranie, którego charakter był ściśle przystosowany do prac niepodległościowych.

Po zagajeniu przez przew. Koła p. Szuszkiewicza, przemówił dr. F. Młynarski na temat punktu zwrotnego, jaki się w ostatnich niemal dniach zaznaczył w dziejach rozwoju narodu polskiego, wykazując, że jest to świadomy, celowy krok, którego konsekwencją będzie zupełne przetworzenie istniejących warunków.

Następnym mówcą był *Józef Piłsudski*.

W głębokiej ciszy i napięciu wysłuchano to przemówienie. Komendant mówił na temat rodzącego się pogotowia narodowego. Scharakteryzowawszy przepięknie dawną Polskę z lat 1831 — 1863, kiedy to ludzie szli z przedziwną odwagą w imię wolnej i niepodległej Polski na krwawe zapasy z wrogiem, by ginąć dla idei, przedstawił

mówca następnie okres pozytywizmu politycznego. „W owych czasach rozsądku te najszlachetniejsze porywy duszy polskiej uległy zupełnemu przewartościowaniu. Co było bohaterstwem, nazwano szaleństwem. Zasadą naczelną stało się: żyj tak, ażeby ciebie nie spostrzeżono, ażeby o tobie nie mówiono, nie słyszano. Polska zaczęła żyć życiem tych, co patrzą.”

Krwawy płaszcz ojców odrzucono do lamusa albo zastawiono. A potem tragedji narodowej nastąpił szczyt.

Za tłumienie myśli niepodległej, zwrócono się po nagrody do wrogów. I odtąd rozsądna Polska dla oczu ludzkich umarła.

A jednak żądza walki zbrojnej tliła w sercach jednostek, nie dała się zdusić! Może to było tylko w snach młodzieńczych.

Socjaliści podnieśli pierwsi sztandar walki o niepodległość. Przyłączyły się inne stronnictwa. Lecz nie był to cały naród. Okazało się to najdowodniej w czasie kryzysu, któryśmy niedawno przeżyli. Znalazły się stronnictwa, które w imię zasady, powstałej na podłożu pozytywizmu, sprzeciwiły się gorąco ruchowi i walce zbrojnej, twierdząc, że klęska i tylko klęska, a nie zwycięstwo spotkać nas może. Mimoto myśl zbrojnego ruchu zatryumfowała. A choć siła ta skromne zdobyła swe znaczenie i zdobywać je będzie zasadą, że tylko z silną Polską liczyć się będą obcy, okazała się w całej pełni prawdziwa.

Już dziś idą ciche gawędy po gabinetach dyplomatycznych o naszej sile, już dziś toczą się targi o nasze głosy, już liczyć się z nami poczynają!”

Przemówienie to wywarło niezatarte wrażenie. Ze słów Komendanta szedł rozkaz, któremu oddało się wielu z obecnych, wstępując do Strzelców.

Że nie poszło to na marne, dowodem Legjony, w których tysiące Lwowiaków i setki okolicznych włościan życie swe oddało za Polskę.

Notujemy tę uroczystość i dosłowne przemówienie Komendanta wedle dokładnych zapisków ówczesnych dziennikarzy, obecnych na sali. (Z.).

Krakowskie Szkoły Bojowe. W wspomnieniach T. Długoszowskiego znajdujemy następującą wzmiankę o „Drugiej Szkole Bojowej”, zorganizowanej w r. 1906 w Krakowie przez P. P. S.:

„Uczniów było 15-tu i wszyscy prawie z Kongresówki. Oto kochany „Kuba” — Karol Basiński, rozstrzelany za P. O. W. w Kijowie w roku 1919, częstochowiak, jasnowłosa bestja z pod Jasnej Góry, dobry z kośćcami, nie pamiętający o sobie Karolek. Miał czerwony nos — i takąż wyobra-

źnię. On pierwszy organizował nam „Promienistów”. Przyjeżdżał tajemniczo z Krakowa, przywoził literaturę i kształcił nas młodszych w sztuce rozumowania klasowego i klasycznego zarazem. Mówił — a oglądał się, czy kto nie podsłuchuje. I zalecał ścisłą konspirację.

Do „Szkoły Krakowskiej” poza Karolkiem i mną (t. j. Długoszowskim) należeli:

„Kamil” — Tytus Czaki, który uciekł wówczas z katorgi carskiej do Krakowa.

„Mściśław” — Stasiak Styczyński. zwany „Karbowym” dla robotniczo-włościańskiej szorstkości i dowcopolu (zginął w Legjonach).

„Napoleon” — Maniuś Skrzynecki (legjonista. rotmistrz ułanów).

„Jerzy” — Janek Zorski (urzędnik, lewy socjalista).

„Srała Karolek” — Turzyma (w wojsku).

„Gubernator” Piotrkowski (urzędnik).

„Starosta Łódzki” — Stanisław Karolczyk (właściciel Biura dzienników „Promień” w Warszawie).

„Sawa” — Sawicki (pułk. W. P.).

„Gleniek” — Breitenbach (zginął od kuli rosyjskiej w 1912 r.).

„Iwo” — Stan. Klepacz (rotm. ułanów W. P.).

„Wiktor” — Marjan Uzdowski (gen. W. P.).

A gospodynią naszą była słynna „Babcia” Golińska. bezcenna partyjna „dromaderka”, która na sobie przewiozła tysiące odezw i pism nielegalnych.

Ciało profesorskie tworzyli: Jodko, Piłsudski, Wasilewski. Perl, Jędrzejowski, Prystor „Bohdan”, Sulikiewicz. Sosnkowski. Lipiński. Arciszewski i Sławek. Czterej ostatni uczyli nas sposobów walki praktycznej. Sosnkowski („Łyszałd”) — materiały wybuchowe. Lipiński („Władek”) — musztry wojskowej. Arciszewski („Stanisław”) — sztuki napadania. Sławek („Gustaw”) — konspiracji.

* * *

Natomiast o 5 kursie „Szkoły Bojowej” w Krakowie obszerniej wspomina Jan Kwapiński, (dziś poseł na Sejm) w książce swej „Z moich wspomnień 1905 — 1909”. I tak:

„Wstąpiłem w 1906 r. na kursa do 5-ciej szkoły. Uczestników było 18. Wychowanków instruktorskiej szkoły, tych pepeesowych oficerów rewolucyjnej polskiej armji, rozmieszczono w trzech mieszkaniach na ulicy Lubicz i Arjańskiej w Krakowie. Po rozłokowaniu przystąpiono do wykładów, poprzedzonych konferencją wstępną, na której „Ziuk” (J. Piłsudski) w ogólnych zarysach zobrazował położenie polityczne kraju i cel naszego szkolenia.

Profesorami naszymi byli: tow. „Barnaba” (Rożen). tow. „Paweł” (Dąbkowski) i inni.

Większość wykładów teoretycznych odbywała się przy pomocy manuskryptów.

„Barnaba” poświęcał nam najwięcej czasu i wykladał na tematy:

1) armja rosyjska pod względem uzbrojenia i umundurowania; 2) musztra; 3) ćwiczenia z bronią krótką i długą; 4) znajomość systemów broni i ich psucia; 5) niszczenie telefonów, telegrafów i środków komunikacji; 6) ćwiczenia w rzucaniu pocisków ręcznych i t. p.

„Paweł” wykladał nam z dziedziny wszelkich materiałów wybuchowych. Pozatem ogromną uwagę zwracano na znajomość topografji. Wykładano nam również anatomję.

Przeważająca większość wykładów, łącznie z nauką strzelania odbywała się w Krakowie. Ćwiczenia w rzucaniu ręcznych pocisków oraz musztry o charakterze zbiorowym odbywały się za rogatkami Lwowa.

„Nauka musztry była stosunkowo dla wszystkich najładniejsza. Ćwiczenia odbywały się szóstkami: na czele stał starszy. Trzy szóstki stanowiły oddział z oddziałowym na czele. Ćwiczenia z bronią w sensie gruntownej znajomości składowych części karabinu, mauzera i brownin-ga. oraz nauki strzelania szły nam raźnie. Trudniej było z rękopisów studjować kulomioty i wszelkiego rodzaju armaty.

„Ćwiczenia w rzucaniu granatów były bardzo pomysłowe i przystosowane do warunków walki ulicznej, czy to z większą ilością policji, czy też wojska.

„Nauczano nas robić zasadzki na kawalerję.

„W niszczeniu telefonów i telegrafów doszliśmy do mistrzostwa. Gorzej dawaliśmy sobie radę ze studjami topograficznymi. Znajomość anatomji była bezwarunkowo konieczną i znaliśmy ją stosunkowo dobrze, to też nieraz z łatwością udzielaliśmy rannym pierwszej pomocy.

„Ostatnim etapem w naszych studjach był wyjazd do Lwowa na ćwiczenia z pociskami ręcznymi i zbiorową musztrę. Po tygodniu wróciliśmy do Krakowa, przygotowując się do egzaminu.

Na egzaminach byli obecni „Ziuk”, „Barnaba” i „Maksym” (Czarkowski).

„Po egzaminach odbyła się pożegnalna wieczerza w obecności już nieżyjącego Mańkowskiego. Rożena, Piłsudskiego. Arciszewskiego, który przed paru dniami wyostał się z więzienia pruskiego. Pod koniec wieczery wygłosił „Ziuk” płomienną mowę. W barwnym świetle odmalował przed nami niewolę polityczną i społeczną, wzywając do walki o wyzwolenie kraju i klasy robotniczej”.

* * *

Szkoły Bojowe powstały po VIII kongresie P. P. S., który odbył się we Lwowie.

O pierwszej Szkole Bojowej nie znaleźliśmy dotychczas wzmianki w zapiskach uczestników.

(cz.).

W tych dniach ukazał się zeszyt pierwszy „Przeglądu Historyczno - Wojskowego” — czasopisma, wydawanego przez Wojskowe Biuro Historyczne.

Na zeszyt ten składają się następujące rozprawy:

Marszałka Józefa Piłsudskiego: „Zarys historii militarnej powstania styczniowego”, w którym najwybitniejszy nasz znawca dziejów walki powstańczej 1863 r. daje jej syntetyczny i niezwykle barwny obraz;

Marjana Małuszyńskiego: „Próba analizy bitwy pod Płowcami”. Jest to obraz pierwszego naszego zwycięstwa nad Krzyżakami. Praca wnosi szereg nowych momentów w stosunku do badań dotychczasowych;

Witolda Huberta: „Bitwa pod Oliwą”, przedstawia zwycięską bitwę morską, stoczoną dnia 28. 11. 1627 r. przez flotę polską z flotą szwedzką, blokującą Gdańsk. Wynikiem tej bitwy było przywrócenie panowania bandery polskiej na Bałtyku od Kurlandji do Pomorza Nadorżańskiego;

Janusza Staszewskiego: „Gwardje narodowe w czasach Księstwa Warszawskiego”, przedstawia dzieje organizacji gwardyj narodowych, t. j. milicij miejskich Księstwa Warszawskiego, zadaniem których było czuwanie nad bezpieczeństwem miast.

Ponadto mamy bogaty dział materiałów, zawierających nieznane plany wojny Prus przeciwko Rosji z 1790 i 1791 r., rozporządzenia o gwardjach narodowych Księstwa Warszawskiego, wiadomości o wywiadzie polskim przed kampanją rosyjską Napoleona w 1812 r.

W dziale artykułów dyskusyjnych i polemiki znajdujemy pracę dyrektora Archiwum Głównego, Józefa Siemieńskiego p. t. „W sprawie organizacji historii wojskowej”.

W dziale recenzji: sprawozdania z książek Maliszewskiego, Tokarza, Harbuta oraz Laskowskiego i Płoskiego.

Ktokolwiek zajmuje się historją naszą, powinien zainteresować się tym „Przeglądem”, który zajął zasłużone pierwsze miejsce, a którego brak dawał się nam odczuwać niejednokrotnie.

BISKUP Dr. WŁAD. BANDURSKI — „Krwí Ofiarnej cześć” — Warszawa 1928 r. Str. 12+192, 8°, ilustr. (Na składzie w Księg. Wojsk. w Warszawie).

Wileński Komitet Obchodu 40-lecia pracy kapłańskiej ks. biskupa dr. W. Bandurskiego — zasłużył się dobrze, wydając księgę, zawierającą przemówienia, kazania, pisma i odezwy ks. biskupa Bandurskiego z czasów 1915—1918 r.

My, Legjoniści, pamiętamy dobrze o tem, czem

było dla nas słowo złotoustego ks. bisk. Bandurskiego w czasach, gdy garstka nas stanęła przy Wodzu, a tylu, tylu innych nietylko że nie było nam pomocnych, lecz wprost działało na szkodę tak naszego czynu, jak i wytkniętej myśli i celu.

W okresie rozbicia Legjonu Wschodniego, nieszczególnie zaszczytnej odezwy biskupa kieleckiego, niemiłosiernego zwalczania idei legjonowej przez niektóre partje polityczne — *plomienne słowa* kapłana-patrjoty i kaznodzieji, *przewielkie trudy* Pasterza, zdążającego do najdalej wysuniętych placówek bojowych Legjonów ze słowem pociechy i błogosławieństwa — stają się jeszcze bardziej ofiarne i olbrzymiej doniosłości.

Czy w gospodzie Legjonistów w Wiedniu, czy w obozie Legjonów na froncie, czy w Legjonowie u skautów, lub w Wołczeczku, Leśniewce, czy w Kamieńsku, Kozienicach, w bojowemu osiedlu lub w obozach jeńców, czy też w szpitalach na Węgrzech i w Austrii — wszędzie gdzie tylko żołnierz polski się krwawił, *Duchowy Wódz Polski* często się zjawiał i krzepił strudzonych żołnierzy polskich.

Zebranie tych przemów i kazań, odezwy i pism w jednym tomie, ujmuje w części przynajmniej czyny i słowa *Wielkiego Kapłana i Obywatela* i w małym bodaj zakresie oddaje zasłużony hołd niestrudzonemu Przewodnikowi Narodu.

„Żołnierz polski zawsze pamiętać będzie, kto złotoustymi słowy rozpałał jeszcze w dniach niewoli serca ludzkie, każąc w świętej miłości Ojczyzny i kto z żołnierzem tym w dniach wielkiej wojny siedł do rowów strzeleckich, krzepiąc go słowem pociechy” — pisze w przesłanym życzeniu w dniu Uroczystości 40-lecia *Komendant Józef Piłsudski*.

Pamięta o tem i żołnierz polski i każdy prawy obywatel.

Książka „*Krwí Ofiarnej Cześć*” powinna się znaleźć w każdym polskim domu i stać się pamiątką i relikwią z czasów, gdy Naród — zdobywał wolność i niepodległość.

Powiatowy Komitet Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego w Miechowie, wydaje od roku urzędowy organ pod tytułem „*OBRONA*”. Miesięcznik ten poświęcony jest sprawom W. F. i P. W. oraz zagadnieniom obrony Państwa.

Ostatni zeszyt (Nr. 2—3) obejmuje poza wiadomościami, dotyczącymi Wychowania fizycznego i przysosob. wojsk., większą pracę *Zofji Zawiszanki* p. t. „*Przemarsz Strzelców przez powiat Miechowski w 1914 r.*”, a także tej samej autorki wspomnienia p. t. „*Moje pierwsze spotkanie z Komendantem*” i *St. Rosieka* fragment poświęcony śp. Lisowi-Kuli i wiele innych. Tak pod względem

treści, jak i zewnętrznie przedstawia się „Obrona” bardzo dobrze i godne jest polecenia.

Z końcem lutego ukazał się nowy numer „Spraw Narodowościowych”, który zawiera szeregi nader interesujących artykułów. Na specjalną uwagę zasługuje obszerna praca p. dr. A. Krysińskiego p. t. „Liczba i rozmieszczenie Ukraińców w Polsce”, w której autor z wielką znajomością przedmiotu i z pełnym obiektywizmem stara się ustalić maksymalną liczbę Ukraińców w Polsce. Poza tem zamieszczone zostały dwa artykuły, mianowicie: prof. T. Wąska „Walka Czerneckiego p. t. „Czynnik narodowy w starożytności” i I. Bornsteina p. t. „O działalności gmin wyznaniowych żydowskich w Polsce”, w którym omówione są wyniki ankiety, przeprowadzonej przez Instytut Badań Spraw Narodowościowych.

W bogatej, jak zwykle, kronice podane zostały aktualne materiały, dotyczące spraw mniejszościowych w Polsce i poza Polską oraz na terenie międzynarodowym i m. in. sprawozdanie z III-go Kongresu U. N. D. O., z 54-ej Sesji Rady Ligi Narodów w Lugano, skład narodowościowy Federacji Zakaukaskiej i wiele innych.

Przyjmujemy do druku pamiątki, wspomnienia, notatki i fragmenty z czasów prac w Związku Strzeleckim i walk w Legionach. Również prosimy o zdjęcia fotograficzne i rysunki.

Wszelkie prawa przedruku bez osobnego pozwolenia zastrzeżone.

Bibliografię Legionów Polskich przygotowuje do druku wydawnictwo Panteonu. Dla ewentualnego skompletowania prosimy czytelników o nadesłanie nam (za zwrotem) posiadanych odezw, druków, broszur etc. z czasów 1914—1918 dotyczących Legionów.

Od Redakcji.

Z nr. 55-tym drukować będziemy „Panteon” na lepszym papierze, a zarazem i korekta ulegnie poprawie. Dotychczasowy adept tej sztuki pozostawiał wiele „djabełków”, za co przepraszamy naszych czytelników.

Do zeszytu, który wyjdzie w sierpniu (w 15-lecie rocznicę dnia 6/8 1914), przygotowujemy już materiał; prosimy naszych współpracowników i czytelników, by zechcieli wcześniej nadesłać swe wspomnienia, opisy i fotografie.

Chodzi nam przede wszystkim o wspomnienia z czasów wymarszu Strzelców lub Drużyników z swoich siedzib, a także z czasów pierwszych kroków w Legionach.

Pozatem przyjmujemy do druku wszelkie wspomnienia, zapiski kronikarskie, historyczne, opisy i t. d., dotyczące czasów od 1914—1920.

Mjr. dr. Wacław Lipiński: „Archiwa formacji polskich z wojny światowej”. — Warszawa 1929. Wojsk. Biuro Historyczne. Cena 1 zł.

Badania naszej historii najnowszej wojskowości polskiej, obejmującej wysiłki wojskowe z lat 1908—1914 oraz liczne formacje polskie, tworzone w czasie światowej wojny, z każdym rokiem zwiększają grono historyków, zagłębiających się w pracach nad temi zagadnieniami. Dla zorientowania tedy pracowników w tej dziedzinie, ukazała się ostatnio praca mjr. dr. Lipińskiego Wacława, który w „Archiwach formacji polskich z lat wojny światowej” daje jasny i przejrzysty pogląd na dzieje powstania tych formacji oraz na te materiały archiwalne, jakie odnośnie formacji zgromadzone zostały w krajowych, a głównie wojskowych archiwach.

Praca mjr. dr. Lipińskiego, mimo fachowej erudycji, powinna zainteresować szerokie sfery czytelnicze, które z coraz większym zajęciem odnoszą się do dziejów polskiego wysiłku zbrojnego z lat wielkiej wojny.

* * *

Mjr. dr. Wacław Lipiński: „Źródła do historii najnowszej wojskowości polskiej 1908 — 1918”. Wydanie drugie uzupełnione. Warszawa 1928. Wojskowe Biuro Historyczne. — Cena 1.50 zł.

Dzieje powojennych polskich związków wojskowych oraz licznych formacji polskich, które w okresie wojny światowej na różnych terenach działań wojennych walczyły pod jednym hasłem Niepodległości Ojczyzny, te piękne karty w dziejach naszego wysiłku zbrojnego, nie zostały dotychczas należycie opracowane, gdyż mamy z tego okresu drobne zaledwie i niewystarczające przyczynki.

Zreasumowaniem i omówieniem tego, co zrobiono już z zakresu naszej historii z lat 1908 — 1918 i tego ogromu pracy, która czeka historyka wojskowości w niedalekiej przyszłości, jest praca mjr. dr. Wacława Lipińskiego p. t. „Źródła do historii najnowszej wojskowości polskiej”.

Autor gruntownie omawia sprawę źródeł i materiałów, odnoszących się zarówno do naszych przedwojennych organizacyj wojskowych, jak i do naszych poszczególnych formacji polskich, podkreślając konieczność jak najskrupulatniejszego opracowania historii tych związków i formacji, zawierających bezcenne wprost źródła ideologii, bohaterstwa i poświęcenia. Ponadto autor wskazuje, jakie zagadnienia należałoby przede wszystkim opracować oraz w sposób ogromnie interesujący omawia tło wojskowo - polityczne, na którym jeszcze wyraziściej i plastyczniej występuje dorobek przedwojennych związków wojskowych i formacji polskich z lat wojny światowej.

Każdy czytelnik powinien zjednać jednego nowego prenumeratora.

Odnówić przedpłatę na II kwartał. Kwotę przesłać blankietem pocztowej kasy oszczędności Nr. 152930.

Poszukujemy Nr. 2, 4, 6, 27, 28 i 40 — zapłacimy podwójną cenę.

Redaktor przyjmuje codziennie od 3 do 5 pop. przv ul. Listopada 81.

Kto otrzymał „Panteon Polski” i niema zamiaru prenumerować — niechaj zwróci ten zeszyt, względnie niechaj uiści kwotę 90 gr.

Józef Piłsudski o Sobie

zebrał i wydał Z. Zygmuntowicz.

Treścią tej książki jest życie i przeżycia Marszałka od kolebki do ostatnich czasów, według

własnych słów i opisów

Przeszło 120 stron druku dużego formatu, kilkadziesiąt ilustracji.

Nieznane opisy z życia Komendanta, przewijające się od dzieciństwa w Żuławie, poprzez lata szkolne, sybirskie szlaki, katorgi i wygnanie w Tunce, X pawilony, przygotowania do ruchu zbrojnego, poprzez organizacje Strzelca, walki w Legjonach, Magdeburg i Naczelnikostwo Państwa, poprzez lata walk o wolność w 1920 r. i wreszcie do ostatnich czasów, wszystko opowiedziane, wzgl. opisane przez Marszałka w różnych czasach i okolicznościach.

Książka nieodzowna przy uroczystościach, przemówieniach i t. p.

Każdy Polak powinien poznać życie WIELKIEGO CZŁOWIEKA naszej doby, zwłaszcza z jego własnych słów.

Cena tej książki wynosi 10 zł. (opr. 15 zł.).

Dla P. T. Wojskowych i Urzędników Państwowych, Policji Państwowej, Nauczycieli i Bibliotek publicznych i naszych rocznych prenumeratorów cena niższa

tylko 8 zł. opłatnie.

(Oprawiona w płótno z złożonym napisem zł. 12 opłatnie).

Zamówienia prosimy skierować pod adresem Administr. „Panteonu Polskiego” Lwów Skrytka 98